

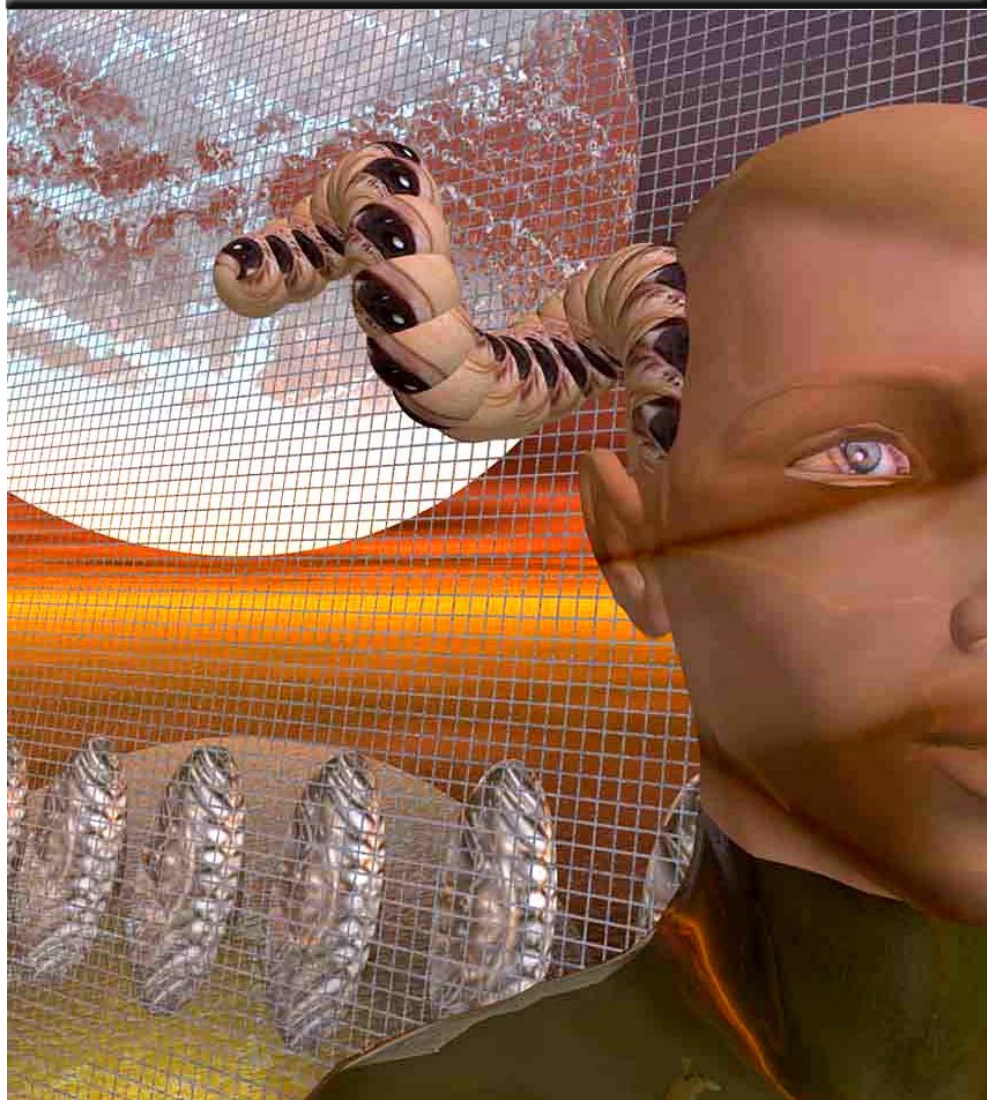
informato**r**

GDAŃSKIEGO KLUBU FANTASTYKI

ISSN 1505-8476



nr 215
luty 2007



INTERWSTĘPNIAK

Jak zapewne jeszcze pamiętacie – „Time” Człowiekiem Roku 2006 ogłosił użytkowników Internetu. Wszystkich, licznych, anonimowych. Czyli, de facto, nas!

Jeszcze dwadzieścia lat temu nikt prawie nie słyszał o Internecie. Był to projekt wyłącznie wojskowo-naukowy. A nikt już zapewne nie przypuszczał, jak udostępnienie Sieci dla potrzeb osób i instytucji cywilnych zmieni całą naszą obyczajowość. Dziś Internet – to dla zaawansowanego użytkownika właściwie wszystko: encyklopedia, gazeta, poczta, telefon, muzyka, film, bank, sklep, często nawet praca; po prostu – sposób na życie.

Podobne precedensy zna zresztą historia kultury. Weźmy chociażby dzieje X Muzy – wynalazcy kinematografu, bracia Lumière, uważali film za wyłącznie techniczną ciekawostkę; dopiero cyrkowiec Méliès stworzył podwaliny tej „najważniejszej (a na pewno – najpopularniejszej) ze sztuk”. Zmiany w obyczajowości implikowane nowinkami technicznymi obserwujemy zresztą również w życiu czysto praktycznym: ktoś mógł przewidzieć, że młode pokolenia tak pokochają telefon komórkowy (w którym zresztą sama funkcja dzwonienia jest już tylko jedną z wielu pożądanых opcji!). Jeżeli chodzi czasy dawniejsze – Hugo w swej powieści o paryskiej katedrze Notre Damme jedną z dygresji poświęcił rewolucji, jaką było, dzięki wynalazkowi Gutenberga, upowszechnienie książek.

Ja długo byłem oporny wobec otaczających nas komputerów. W ogóle bardzo powoli przekonuję się do wszelkich nowinek technicznych (notabene to cecha dość paradoksalna u czytelnika fantastyki naukowej!); częściowo tłumaczę to faktem, iż w ogóle nie bawią mnie żadne gry (które u zarania domowych komputerów stanowiły gros oferty w tych, prehistorycznych już, machinach). Dość wcześniej doceniłem jednak komputer jako najdoskonalszą maszynę do pisania (nieograniczona możliwość nanoszenia wszelkich bieżących korekt i modyfikacji w tworzoną tekście!).

Do samego Internetu przekonywałem się jeszcze wolniej; może dlatego, że pierwszych lekcji udzielał mi inżynier-informatyk, pracownik naukowy politechniki – i najwyraźniej chciał mi od razu przekazać całą swą wiedzę (skutek był oczywiście odwrotny: nie zrozumiałem nic, załamałem się i zwątpiłem). Dopiero własne eksperymentowanie uczyniło ze mnie internautę. Niezbyt wszechstronnie zresztą: korzystam z wyszukiwarki, wikipedii, poczty, forum – nie korzystam z e-banku, e-sklepu, nie umiem ściągać muzyki ani filmów, nie mam komunikatora telefonicznego (acz do tego ostatniego coraz bardziej się przymierzam). Zresztą do wszelkiej techniki zawsze miałem „dwie lewe ręce”: jeśli mi coś siądzie w oprogramowaniu – ja też siadam bezradny, zdany na łaskę i niełaskę zaprzyjaźnionych speców...

Pociesza mnie jedno: wielu moich kumpli z podstawówki (i to np. będących nauczycielami pracującymi z młodzieżą!) na samo hasło „komputer” czy „Internet” błędnie i patrzy na mnie dziwnym wzrokiem (choć jedno i drugie zwykle mają w domu; ale użytkownikami są ich podrastające pociechy...). Nie jestem więc może takim absolutnym zgredem?

Nie ma dziś szanującej się instytucji, która nie miałaby swej poczty e-mailowej oraz strony www; jeden z moich starych przyjaciół (znany zresztą Czytelnikom „Informatora” ze swych muzycznych felietonów) rezerwując telefonicznie kwatery prywatną w podatrzańskiej chacie – usłyszał nagle od babuleńki-góralki: „a był pon na nasej stronie?”.

Wszystko wskazuje na to, że dostęp do Internetu będzie się w Polsce upowszechniał coraz gwałtowniej (m.in. fundusze z UE) – i coraz więcej naszych rodaków będzie zeń korzystało. Oby tylko rozwijał on, a nie ograniczał, tradycyjne kontakty między ludźmi!

Ale przecież jest on tylko narzędziem, kapitałnym narzędziem – sposób jego użycia zależy tak naprawdę tylko i wyłącznie od danego użytkownika.

Czyli od człowieka po prostu.

URODZINY

Kochani kwietniowi Jubilaci!
Bynajmniej nie primaaprilisowe
życzenia urodzinowe

składa Wam

ustępujący Zarząd
i wiecznie żywa Redakcja

- 2 Andrzej Lisowski
Jerzy Miksza
Agata Smoleń
- 3 Dariusz Kostyszyn
- 4 Krzysztof Leszczyński
- 5 Jacek Gdaniec
- 6 Michał Dagajew
- 7 Wojciech Dowgiałło
- 10 Agnieszka Adamek
Michał Błażejewski
Beata Leńska
- 15 Krzysztof Ciszewski
- 18 Artur Karwacki
- 20 Piotr Rozenfeld
Sławomir Zaręba
- 24 Joanna Szwankowska-Rozenfeld
- 25 Jarosław Kotarski
- 28 Jerzy Bellwon
Robert Kotlarek
- 29 Jolanta Domańska



LUTOWE POSIEDZENIE ZARZĄDU GKF

Odbyło się 18 lutego 2007 r. i było wyjątkowo krótkie.

1. Sprawy organizacyjne

- 1.1. Termin Walnego Zebrania został przeniesiony na 25 marca 2007 roku, godz. 12:00.
- 1.2. Klub Sprzymierzony KF „Macieja G. im. Pana Kleksa” otrzymał w całości urlop na II i III kwartał br.
- 1.3. Ostatnie posiedzenie ZIRS obecnej kadencji odbędzie się 21 marca o 19:00.

2. Sprawy personalne

- 2.1. Urlopy
Maciej Wiktor (Angmar) na I kwartał 2007 r.

3. Sprawy finansowe

Omówiono stan subkont KLów i składkopłatność.

4. Praca Komisji Rewizyjnej

- 3.1. Kontrola Działu Kolportażu i finansów GKF zakończy się przed Walnym Zebraniem.
- 3.2. Termin pozostałych kontroli ustali nowa Komisja Rewizyjna.

5. Imprezy

Krzysztof Papierkowski zreferował przygotowania do seminarium „Wszystkie barwy fantastyki” i obchodów XX-lecia GKF.

LISTA NR 2 DELEGATÓW NA WALNE ZEBRANIE SPRAWOZDAWCZO-WYBORCZE GKF

Angmar

1. Wojciech Borkowski
2. Marek Falkowski
3. Sławomir Ginter
4. Piotr Mazurowski
5. Michał Narczewski
6. Sławomir Zaremba
7. Piotr Rozenfeld
8. Maciej Wiktor
9. Marcin Wiktor

Brethren

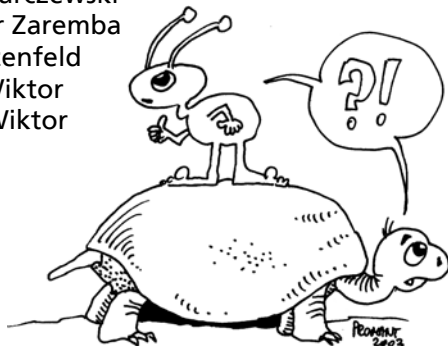
1. Jaśmina Kotlarek
2. Bartek Pietrzak

First Generation

1. Bogdan Kałużny
2. Andrzej Lisowski
3. Barbara Muchła
4. Małgorzata Stankiewicz

Mirror

1. Rafał Dintar
2. Wojciech Ingielewicz
3. Michał Stawski



Migawki z jubileuszu

Media

Poinformowane zostały dwie gazety („Dziennik Bałtycki” i „Gazeta Wyborcza –Trójmiasto”) jedna stacja telewizyjna (TVP-3, a konkretnie redakcja gdańskiej „Panoramy”). Jedna stacja radiowa („Radio Gdańsk”). Odwiedziła nas tylko reporterka tej ostatniej i przeprowadziła wywiad z Marcinem Szklarskim.

Goście

Odwiedzili nas przyjaciele z innych klubów fantastyki. Stolicę reprezentował Lech Olczak. Ze Śląskiego Klubu Fantastyki przyjechali Ela Gepfert i PWC. Z PKF „Ubik” (Białystok) przyjechali: Harcerz, Czempionstwo oraz Bałasz z Majką. EKf „Fremen” reprezentował Marcin Grygiel. Z „Żyrafana” przyjechał Kormoran, z Drugiej Ery (Poznań) – Piotrek Derkacz, ze Stronga (Słupsk) – Krzysz Pezena i CD-Jack, a z Ad Astry (Zielona Góra) – Zbyszek Kulczycki z połowicą. Odwiedził nas też, po raz pierwszy na żywo, dobrze znany czytelnikom „Informatora” Adam Mazurkiewicz z Uniwersytetu Łódzkiego. Nie zabrakło też dawnych członków GKF – że wymienimy chociażby Maćka Rokickiego, Andrzeja Pieniążka czy AlBerta.



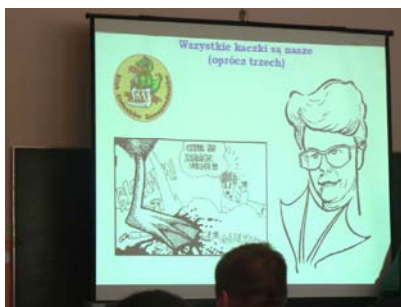
Wystawa

To aż tyle zinów i plakatów naprodukowaliśmy przez te dwadzieścia lat? Aż się wierzyć nie chce! Salka wystawowa pękała w szwach, a i tak na stołach i ścianach nie udało upchnąć wszystkiego... Robiło to naprawdę wrażenie (a niektóre tytuły dopiero teraz się przypomiinały)!



Prelekcje

Też wspomnień czar. Posługując się rzutnikiem multimedialnym klubowi weterani ożywili przeszłość. Papier (przy milczącym votum separatum Maćka Rokickiego) mówił o początkach klubu, przekonywaniu urzędników, zgodach centralnie wydawanych na zaproszenie gości zagranicznych i wojewódzkich decyzjach na przydział masy mięsnej dla potrzeb konwentów – a także o dniu dzisiejszym stowarzyszenia. PiPiDżej opowiadał o PRL-owskim głodzie fantastyki, zmaganiach z cenzurą i wyzwaniach wolnego rynku. Piotrek Mazurowski wspominał dawne i niedawne konwenty, ze szczególnym uwzględnieniem Nordconów. AdaM przeanalizował fantastyczny rynek księgarski w Polsce ostatniego dwudziestolecia. Prelekcja Cetiego o grach, z uwagi na gadatliwość poprzedników, została przeniesiona na dzień drugi.



Program artystyczny

Składał się z futurystyczno-fantastycznych tańców grupy funkcjonującej przy „Maciusiu” (chwilami mogły nasunąć się skojarzenia z „American Beauty”...) oraz z muzycznej składanki na cześć wszystkich prezesów wykonanej przez Siostry [z domu] Kałużne z zespołem (tym razem zostało to, w przeciwieństwie do legendarnego benefisu Papiera, sfilmowane!). Były też życzenia od zaprzyjaźnionych klubów, a także symboliczna lampka wina musującego i tort z klubowym logo.





Wyżerka

Wszystkim uczestnikom służyła kawiarenka na parterze, serwująca gratis ciastka i napoje. Zaś podczas bankietu – stół ugiął się od potraw. I to równie efektownych, co smacznych (pamiętacie wiórowate specjały podczas X-lecia?); ogromna w tym zasługa piękniejszej części GKF-u: dziewczyny wykonały ogromną pracę przy przygotowaniu bankietu, w jego trakcie i po zakończeniu. W ogóle wszystkim osobom zaangażowanym we wszelkie prace przy przygotowaniu i obsłudze uroczystości należą się ogromne podziękowania!



Gry

Pod ich znakiem minął drugi dzień jubileuszu (ale zdjęć nie mamy).

Redakcja

małe kalendarium imprez fandomu polskiego

DRUGA POŁOWA MARCA ✎ KWIECIEŃ 2007 R

- 16–18 marca **R–Kon** Rzeszów
Kolejna edycja rzeszowskiego konwentu. Impreza raczej kameralna. Uczestnicy chwalą sobie jej dobry klimat i wracają z niej zadowoleni.
- 23–25 marca **Pyrkon** Poznań
Jeden z najlepszych konwentów w Polsce z prawdopodobnie największym i najlepszym programem. Organizatorzy zapowiadają wiele bloków tematycznych i wielu ciekawych gości i na pewno, jak co roku obietnice te spełnią.
- 24 marca **KONFaternia** Pródnik
Ze strony imprezy można wyczytać, iż oburzeni brakiem konwentów na Śląsku Opolski, m członkowie klubu "Amulong" organizują swoją imprezę. Na razie ma to być przymiarka do większego konwentu – w postaci jednodniówki.
- 31 marca **Urodziny TIMa** Gdańsk
Jednodniowa impreza mangowa organizowana z okazji pierwszej rocznicy powstania Trójmiejskiej Inicjatywy Mangowej.
- 21–22 kwietnia **Dragon 2007** Lublin
Kolejna edycja konwentu Dragon, na razie bliższych informacji brak.



wg: Jakub 'borg' Rzepecki

ZAPOWIEDZI WYDAWNICZE

Druga połowa marca - kwiecień 2007 r.

WIECZNA WOJNA (FOREVER WAR) – JOE HALDEMAN

Wydawca: Solaris. Oprawa twarda

KARTOMANCJA (CARTOMANCY) – MICHAEL A. STACKPOLE

Wydawca: Rebis

SYRENY Z TYTANA (THE SIRENS OF TITAN) – KURT VONNEGUT

Wydawca: Zysk i S-ka. Wznowienie

PIKNIK NA SKRAJU DROGI. S.T.A.L.K.E.R. (ПИКНИК НА ОБОЧИНЕ) –

ARKADIJ STRUGACKI, BORYS STRUGACKI

Wydawca: Prószyński i S-ka. Wznowienie

AMERYKAŃSCY BOGOWIE (AMERICAN GODS) – NEIL GAIMAN

Wydawca: MAG. Wznowienie

KOMÓRKA (CELL) – STEPHEN KING

Wydawca: Albatros

M JAK MAGIA (M IS FOR MAGIC) – NEIL GAIMAN

Wydawca: MAG

WYJŚCIE Z CIENIA – JANUSZ A. ZAJDEL

Wydawca: superNOWA. Wznowienie



SŁUGA RELIKTU: NAJEMNICZY KSIĘGA 1 – SALVATORE R. A.

Wydawnictwo: ISA. Wznowienie

MIASTO PERMUTACJI (PERMUTATION CITY) – GREG EGAN

Wydawca: Solaris

ARKA ODKUPIENIA. WYŚCIG (REDEMPTION ARK) – ALASTAIR REYNOLDS

Wydawca: MAGRETROSPEKTYWA, TOM 1 (GRRM: A RETROSPECTIVE) –

GEORGE R. R. MARTIN

Wydawca: Zysk i S-ka

SINOBRODY (BLUEBEARD) – KURT VONNEGUT

Wydawca: Zysk i S-ka. Wznowienie

ŻMIJOWA HARFA – ANNA BRZEZIŃSKA

Wydawca: RUNA

CZARNA SZABLA – JACEK KOMUDA

Wydawca: Fabryka Słów

KUZYNKI – ANDRZEJ PILIPIUK

Wydawca: Fabryka Słów. Wznowienie

WIZJE ALTERNATYWNE 6Wydawca: Solaris**NAJDALSZY BRZEG (THE FARTHEST SHORE) – URSULA K.****LE GUIN**

Wydawca: Książnica

RUBINOWY RYCERZ (THE RUBY KNIGHT) – DAVID EDDINGS

Wydawca: Książnica

SZALONY STATEK. TOM 1 (THE MAD SHIP) – ROBIN HOBB

Wydawca: MAG

DZIEDZICTWO: LEGENDA DRIZZTA KSIĘGA 7 – SALVATORE R. A.

Wydawca: ISA

NON STOP (NON-STOP) – BRIAN W. ALDISS

Wydawca: Solaris. Oprawa twarda, wznowienie

CIEPLARNIA (HOTHOUSE) – BRIAN W. ALDISS

Wydawca: Solaris. Oprawa twarda, wznowienie

SZALONY STATEK. TOM 2 (THE MAD SHIP) – ROBIN HOBB

Wydawca: MAG. Wznowienie

MESJASZ DIUNY (DUNE MESSIAH) – FRANK HERBERT

Wydawca: Rebis. Oprawa twarda, obwoluta, wznowienie

AEGIPT. SAMOTNIE (ÆGYPT) – JOHN CROWLEY

Wydawca: Solaris

DŁUGI DZIEŃ WALHALLI. NAJEŹDZCY (DLOUHÝ DEN VALHALY) – FRANTIŠEK NOVOTNÝ

Wydawca: Solaris

TOTALNA AWARIA SYSTEMU (CRASH DELUXE) – MARIANNE DE PIERRES

Wydawca: Solaris

TRUPI KOROWÓD – WITOLD JABŁOŃSKI

Wydawca: superNOWA

BRUDNA ROBOTA (A DIRTY JOB) – CHRISTOPHER MOORE

Wydawca: MAG

KRAWA KANTYCZKA (BLOOD CANTICLE) – ANNE RICE

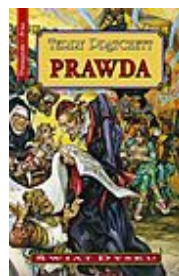
Wydawca: Rebis

PRAWDA (THE TRUTH) – TERRY PRATCHETT

Wydawca: Prószyński i S-ka

TREASURED ONE – DAVID EDDINGS, LEIGH EDDINGS

Wydawca: Prószyński i S-ka

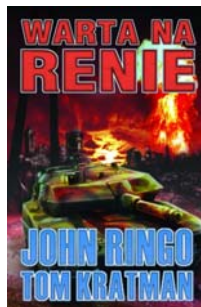
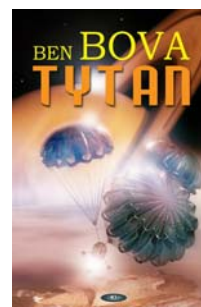
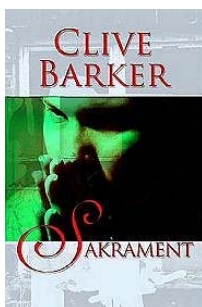
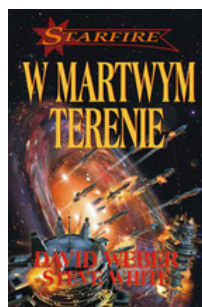
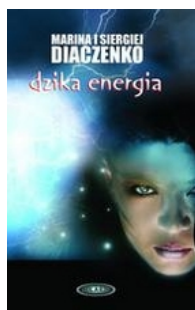
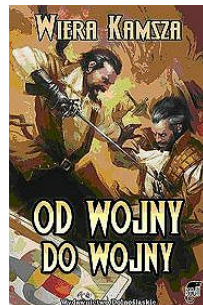


NABYTKI BIBLIOTEKI GKF

zakup styczeń - luty 2007

Antologia
Barker Clive
Berg Carol
Bova Ben
Chadbourne Mark
Diaczenko Marina i Siergiej
Esslemont Jan Cameron
Goodkin Terry
Jordan Robert
Kamsza Wiera
Kozak Magdalena
Lumley Brian
Morgan Richard
Morgan Richard
Piekara Jacek
Ringo John, Kratman Tom
Ringo John
Sobota Jacek
Weber David, White Steve
Wojnarowski Zbigniew
Wrede Patricia C.
Żamboch Mirosław
Zimniak Andrzej

Niech żyje Polska. Hura! 2
Sakrament
Odrodzenie
Tytan
Władztwo ciemności
Dzika energia
Noc noży
Fantom
Gilotyna marzeń
Od wojny do wojny
Renegat
Nekroskop 12. Piętno
Modyfikowany węgiel
Zbudzone furie
Łowcy dusz
Warta na Renie
Wbrew fali
Padlina
W martwym terenie. Starfire
Posoka smoka
W poszukiwaniu smoka
Na ostrzu noża 1
Biała rój





STRONKA MOLI KSIĄŻKOWYCH

Na internetowej stronie www.biblionetka.pl znaleźć można dużo omówień książek oraz podobnych materiałów; można też spróbować własnych sił recenzenckich.

Całkiem sporą reprezentację mają tam także fantastyka i komiks.

jpp

RÓŻNIE CZCZONO XX-LECIE GKF

Jak dowiedzieliśmy się z dobrze poinformowanych źródeł – EuGeniusz Dębski poszedł najdalej (i najwyżej): zdobył topniejące śniegi Kilimandżaro.

pak



BIESIADA LITERACKA W WCK

30 marca 2007 r., o godz. 18:00, w Wejherowskim Centrum Kultury (vis a' vis dworca głównego PKP) odbędzie się „biesiada literacka”: spotkanie autorskie z Rafałem A. Ziemkiewiczem.

wg: "Nowiny" 2/07

"WIEDŹMIN" POD LUPĄ ABW

Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego zwróciła się do po. prezesa TVP Andrzeja Urbańskiego o udostępnienie dokumentacji produkcji filmowej i seriali telewizyjnych: *Przedwiośnie*, *Wiedźmin* i *Quo vadis* – poinformowała rzeczniczka ABW ppłk Magdalena Stańczyk.

Czynności ABW to część śledztwa prokuratury rejonowej w Szczecinie dotyczącego współpracy znanego producenta filmowego Lwa Rywina z telewizją publiczną przy produkcji filmów. Śledczy badają domniemane nadużycie uprawnień i niedopełnienie obowiązków przez byłych członków zarządu TVP SA, gdy jej prezesem był Robert Kwiatkowski. Chodzi o lata 1999–2002. ABW podaje, że postępowanie ma na celu ustalenie wysokości ewentualnych strat Skarbu Państwa oraz osób za nie odpowiedzialnych.

Deckard za PAP

PANIKA W GKF

Krążą słuchy, iż w związku z totalną ustawą lustracyjną, pod którą podlegać ma każdy, kto cokolwiek robi i urodził się przed epoką Gierka – mogą być problemy zarówno z chętnymi na stolec prezesa GKF, jak również z autorami recenzji do „Informatora”.

*utajniona redakcja
jedyne prawdziwego
„Informatora GKF”*

JUBILEUSZOWIEC

Dla porządku odnotowujemy, że numer 214 "Informatora" był numerem jubileuszowym (zawierającym program seminarium uświetniającego XX-lecie GKF) – i podczas tegoż seminarium był rozprawiany.

red.

UNIKAT

Strofy z dreszczykiem
red. Robert Stiller
przekład zbiorowy
Warszawa 1986, „Iskry”



Robert Stiller, znany antologista, zaproponował tym razem rzecz wyjątkową. Oto zebrał bowiem w jednym tomie kilkadziesiąt wierszy, ballad, poematów, które łączą jedno: są one – zgodnie z tytułową formułą – strofami wywołującymi w czytelniku dreszcz grozy. Innymi słowy, Stiller złożył antologię poezji mającej więcej, niż z poezja wspólnego z horrorem. Rzecz jest tym bardziej godna uwagi, że nie ogranicza się on do jednej epoki (szczególnie kuszący, zdawałoby się, romantyzm – zbywa kilkoma zaledwie utworami), ani kręgu kulturowego. Stiller zebrał bowiem opowieści grozy poczynając od babilońskiego *Gilgamesza*, poprzez angielskie i polskie średniowieczne anonimy po poetów współczesnych. Co znamienne – nie tylko tych kojarzących się z fascynacją podobną tematyką (rewelacyjny *Czarny autobus* Różewicza, Wojaczek, Grochowiak), lecz również twórców, których nie zwykło się posądzać o podobne inklinacje (Lec, Iłakowiczówna). Nie zabrakło też czarnego humoru w najlepszym wydaniu: „Kabaretu Starszych Panów” (niezapomniany *Odrażający drab* Jeremiego Przybory) i *Upiora* Andrzeja Waligórskiego z przewrotną puentą. Sam Stiller również zaprezentował się kilkoma wierszami, choć obiektywnie (i bez złośliwości) trzeba przyznać, że nie robią one większego wrażenia, zwłaszcza w tak doborowym towarzystwie.

Tym bardziej, że polscy poeci to zaledwie część reprezentantów poezji mroku. Przeważają bowiem twórcy literatury powszechnej, choć tu zabrakło kilku – może i znanych powszechnie, ale znamienych – poematów, jak choćby *Kruka* Edgara Allana Poe’go (ten reprezentowany jest wierszem *Do Anny*). Skoro znalazło się miejsce dla *Padliny* Baudelaire’a, dlaczego zabrakło go dla *Pieśni o starym żeglazku* Samuela Taylora Colridge’a? Jeśli jest *Poemat Piasta Dantyszka o piekle* Słowackiego, to dlaczego nie ma tegoż *Ojca zadżumionych*? Pytania te nasuwają się same, bowiem *Strofy z dreszczykiem* to antologia godna lektury i szkoda, że nie jest jeszcze doskonalsza. Tym bardziej, że zawiera bodaj czy nie jedyne jak dotąd polskie tłumaczenie ballad tworzących cykl *Grzyby* z *Yuggoth* Howarda Phillipsa Lovecrafta (a już dla samych tych fragmentów warto całość przeczytać).

Niejasny jest również układ całości – ani nie chronologiczny, ani nie tematyczny, ani też nie według klucza alfabetycznego. To utrudnienie zwłaszcza dla kogoś, kto szuka konkretnych utworów. Musi wtedy wielokrotnie kartkować spis treści lub dla pamięci zaznaczać ulubione miejsca (na szczęście niejaką pomocą może okazać się dołączony alfabetyczny skorowidz autorów zamieszczonych wierszy; co jednak, gdy zna się tytuł, a nie pamięta autora?). Szkoda. Szkoda również, że we *Wstępie* Stiller nie pokusił się o dokładniejszą wykładnię założeń antologii, całość zbywając nieco zmanierowanym, konfesyjnym tonem i ogólnikami. Oczywiście rzecz nie jest akademickim podręcznikiem, czy też przewodnikiem po straszaniu w literaturze, jednak z przyjemnością przeczytałoby się coś więcej niż frazesy na temat romantyzmu. To jednakże, powtórzmy, niewielkie uchybienia wobec świadomości, że dane jest nam obcować z unikatową antologią, która mimo dwu dekad, jakie upłynęły od jej edycji wciąż potrafi „śmieszyć, tumanić, przestraszać” – i to nie hektolitrami krwi, lecz sugestią, niedopowiedzeniem, nastrojem...

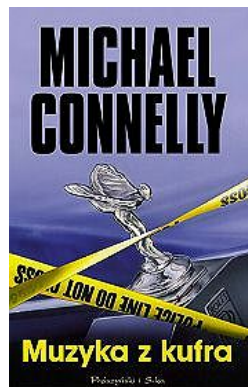
Adam Mazurkiewicz

Dubel z kufra

„Dziwne, jak czasem trudno odróżnić dobrych od złych” – powiada jedna z bohaterek „Muzyki z kufra” Michaela Connelly’ego, policjantka, mając na myśli innych policjantów. Rzeczywiście jest to trudne, jeśli ma się kłopoty z myśleniem, a przypadłość ta jest powszechna w tej powieści. Swego czasu miałem to za złe filmowi „Pitbul”, w którym źli policjanci uganiaли się za złymi przestępcami. Przy okazji lektury „Muzyki...” uświadomiłem sobie jednak, że tamci byli przynajmniej uczciwi o tyle, że nie ukrywali przed sobą, że podłączanie elektrod do jąder „przesłuchiwanego” podejrzanego to niezbyt chwalebne zajęcie. Bohaterzy „Pitbula” oddawali się podobnym zajęciom z niejaką nawet przykrością, rozumując, że walcząc ze złem trzeba być skurwilem, albowiem „tamci” to skurwiele jeszcze więksi. Żli policjanci muszą znęcać się nad złymi przestępcami w imię głębokiego poczucia sprawiedliwości, nakazującego wejść w kompetencje sądu i podejrzanego karać z góry, przed wyrokiem, w trakcie postępowania *przygotowawczego*, jako winnego tej czy innej zbrodni. U Connelly’ego mamy natomiast jeszcze gorsze zjawisko, a mianowicie *dobrych* policjantów uganiających się za złymi przestępcami. Dobrych przynajmniej we własnym rozumieniu, gdy bowiem przyręcz się owym herosom praworządności, okazuje się, że daleko im do świętoszkowości. Różnica między „Pitbulem” a „Muzyką...” polega na tym, że gdy w tym pierwszym bohaterzy delektują się własnym upodleniem w „pozbawionej złudzeń” walce ze złym złem, w tej ostatniej uważają swoje zachowanie za najzupełniej normalne. Złe zło uświęca bowiem środki i pozwala zachować czyste sumienie.

„Muzykę z kufra” czyta się dobrze. Jest to precyzyjnie skonstruowana fabuła, w której stopniowo odsłaniają się przed czytelnikiem kulisy morderstwa odkrytego na pierwszych stronach, obfitująca w niespodziewane zwroty akcji i napisana sprawnym, bardzo dobrym językiem. W gruncie rzeczy powieść Connelly’ego jest jednak nudna i sztampowa: poza kolejną historią kryminalną nie ma tu dosłownie nic, choć przecież cytowane na początku zdanie aż się prosi o rozwinięcie, gdy do czynienia mamy z glinami o wybiórczym stosunku do przepisów, mafiosami, agentami jawnymi i tajnymi, tarciami wewnątrz różnych wydziałów policji, ambicjami mundurowych, sobie chcących przypisać chwałę prowadzenia czy rozwiązania sprawy, nie wspominając już o podstawie owego „dobra”, jakim ma być stale obecny gdzieś w tle kodeks karny, i jego stosunku do „zła”. Nie ma tu jednak choćby śladu takich rozważań; w sumie wiadomo, że dobrzy jesteśmy my (nawet jeśli złamiemy czasem nos nie dość spolegliwemu rozmówcy), a źli są tamci (i właśnie dlatego, że są źli, wolno nam bez wyrzutów sumienia rozkwasać im nosy).

Proszę mnie dobrze zrozumieć: nie wymagam, by kryminał policyjny był moralitetem. Problem polega na tym tylko, że fabuła „Muzyki...” jest schematyczna (trudno, aby było inaczej, skoro założeniem książki jest przedstawienie historii śledztwa policyjnego), ale że schematyczne jest tam wszystko. W szczególności irytuje mnie niezmierna płytkość wszystkich co do jednego postaci zaprezentowanych w książce. Jest to problem, który kojarzy mi się z książkami Johna Grishama (przynajmniej tymi słabszymi, jak debiutancki „Czas zabijania” czy „Raport Pelikana”), a który zdefiniować można jako „syndrom Brudnego Harry’ego”. Syndrom ten polega na utożsamieniu ideologii retribucji z najoczywistszą zasadą sprawiedliwości, z tym że sprawiedliwość ta nie przeszkadza *dobremu* policjantowi ze spokojnym sumieniem robić, a przynajmniej usprawiedliwiać dokładnie tego, za co z oburzeniem ściga złego przestępcę. Bohaterowie, którzy taką właśnie ideologią się kierują, tworzą najnudniejsze i najpłytsze postaci, wpasowujące się w wyświechtane do granic możliwości schematy.



Harry Bosch z „Muzyki w kufrze” nie jest Brudnym Harrym, ale podobnie jak tamten i podobnie jak prawnicy Grishama nad niczym się nie zastanawia. Prowadzenie śledztwa jest dla niego niczym pranie skarpetek: jest to po prostu kwestia *techniki* poszukiwania sprawcy, którą trzeba zastosować w celu jego wykrycia, a poza tym Boscha nic nie interesuje. Owszem, nie każdy policjant musi być filozofem; ale do kroćset, skoro już Bosch nie lubi myśleć, to niechby chociaż w inny sposób był interesujący albo charakterystyczny, jak Colombo, Kojak czy Hercules Poirot. Niechby był zabawny, jak Tango i Cash („Rzuć tę kaczkę!”). Niechby mierzył się z demonami przeszłości, jak agentka Clarise z „Milczenia owiec”. Natomiast Bosch i spółka są po prostu kompletnie *nijacy*. Bosch skłania się ku ideologii Brudnego Harry’ego, ale nawet to czyni bez przekonania, będąc co najwyżej bladą kopią swego sławniejszego poprzednika. Wszystko, czego możemy się dowiedzieć o Boschu, związane jest z jego pracą w policji. Facet nie ma zainteresowań (poza pracą w policji), nie ma manierizmów ani słabostek (jeśli nie liczyć jednej kobiety). Ma za to dużo ambicji i – cóż za zaskoczenie – ambiwalentny stosunek do zasad i przepisów: gdy jemu z nimi nie po drodze, łamie je bez wahania i bez wątpliwości (np. szantażując innego policjanta wiedzą o jego nielegalnym działaniu); a gdy łamią je inni, jest to dowód, że są to źli ludzie (np. gdy ów policjant wraz ze swoim szefem rewanzują się szantażem, grożąc ujawnieniem zabronionych kontaktów Boscha z pewną byłą pensjonariuszką zakładu karnego; to wówczas pada jakże trafne zdanie wspomniane na początku tej recenzji).

Wszystko to sprawia, że Bosch nie jest postacią, która mogłaby choćby zainteresować, nie mówiąc o budzeniu sympatii. To samo dotyczy pozostałych bohaterów: są to tzw. normalni ludzie, dobrani według klucza statystycznego (nie mogło zabraknąć nazisty i lesbijki), nudni do bólu i mogący budzić co najwyżej wzruszenie ramion czytelnika, który napotkał już był podobne postaci wielokrotnie. Mam wrażenie, że autor nie chciał przedstawić w książce niczego własnego (poza własną, wpasowaną w schemat intrygą), a w zamian skupił się jedynie na *odwzorowywaniu* pracy policji Los Angeles (co uczynił znakomicie i z pietyzmem). Jest to, krótko mówiąc, proza mimetyczna, której całą ambicją jest dokładnie kopiować. Problem w tym, że osobiście uważam, iż miejsce rzeczywistości jest w rzeczywistości, a *dublowanie jej*, tak aby wysłać nam rzeczywistość bis, jest w fikcji bezcelowe, choć – jak wskazują wyniki oglądalności sitcomów – opłacalne.

Tak więc „Muzykę z kufra” poleciłbym raczej jako lekturę do pociągu, taką, przy której czas się nie dłuży, ale którą odkłada się bez żalu i szybko zapomina. Jeśli ktoś ma akurat ochotę na sprawną powieść sensacyjno-kryminalną bez ambicji, jest to książka właśnie dla niego.

Michał Szklarski

Michael Connelly „Muzyka z kufra” (*Trunk music*), wyd. Prószyński i S-ka, Warszawa 2006.

Chiński domek z kart

Henry Lion Oldi, czyli rosyjski duet pisarski, powraca na półki księgarń. Dymitr Gromow i Oleg Ładyżeński robią to we właściwym sobie, oryginalnym stylu. Spotkać mogliśmy się z nimi już przy okazji powieści *Otchłań głodnych oczu*. *Mesjasz formatuje dysk* (bo taki właśnie, zapadający w pamięć, choć pretensjonalny tytuł ma książka) to pracowicie budowany, misterny i wielopoziomowy domek z kart.

Górna warstwa konstrukcji to przedstawiony w powieści obraz piętnastowiecznych Chin, gdzie rozgrywa się akcja powieści. Państwo Środka jest w niej barwnie odmalowane, jeszcze jaskrawiej przedstawione zostaje piekło wprost z chińskiej mitologii. Oprócz tego w książce można znaleźć obraz pasujący jak ulał do wizerunku Chin wykreowanego przez kulturę popularną: mnisi-wojownicy z klasztoru Shaolin, dworskie intrygi, mistyka



dalekowschodniej filozofii. Niejakim zaskoczeniem może być tu postać dwudziestowiecznego informatyka, przeniesionego (tylko mentalnie) do tego odległego kraju. Jednak ten, kto zna dość swobodne podejście autorów do sprawy czasu i przestrzeni, mógł się tego spodziewać. Książkę śmiało określić można jako ocierające się o postmodernizm fantasy, czerpiące całymi garściami z chińskiej mitologii.

Oto kolejny poziom naszego papierowego domku (choć może powinienem był powiedzieć: "pagody"). *Mesjasz formatuje dysk* to książka przepelniona dalekowschodnimi mitami do tego stopnia, że czytelnik, który nie zna chińskiej mitologii, może poczuć się zagubiony. Na karkach powieści wprost roi się od fantastycznych postaci demonów, magów czy upiórów. Ich zachowanie nie zawsze jest zrozumiałe, moce, jakimi dysponują, są nieznanne. Autorzy zaś nie starają się zbyt łatwo ułatwić czytelnikowi zadania. Można spierać się z tym zarzutem, mówiąc, że zbyt duża ilość wyjaśnień zakłócałaby płynność narracji. Z drugiej jednak strony, niewtajemniczony czytelnik nie ma możliwości właściwego odczytania niektórych aluzji czy rozwiązań fabularnych.

Nie trzeba natomiast być ekspertem od dawnych wierzeń w Chinach, by móc docenić lekkie pióro autorów. Poczynili oni pewne wysiłki w kierunku stylizacji języka, nie tracąc jednocześnie nic ze swojego barwnego, gawędziarskiego stylu. W wyniku tej syntezy otrzymujemy język, który nie jest męczący, ale wciąż dyskretnie przypomina nam, gdzie rozgrywa się akcja. Dodatkowymi atutami są autentyczne chińskie powiedzenia i przysłowia wplecione w tekst.

Przejdźmy na kolejne piętro karcianej budowli. Powieść napisana jest z dużym rozmachem. Ilość wątków miejscami aż przytłacza, choć trzeba przyznać, że Dymitr Gromow i Oleg Ładyżeńskij bardzo dobrze sobie radzą ze spójnością fabuły. Nie pozostawiają przypadkowych niedomowień, w tekście nie ma niepotrzebnych dygresji. Jednakże niektóre z rozwiązań fabularnych potrafią popruć ten pracowicie tkany wzór niczym luźne nitki, które aż proszą się, by za nie pociągnąć. Rozwiązania *deus ex machina* rzadko wychodzą opowieściom na dobre, a w tym przypadku nie jest inaczej. Przecież można było się bez tego obejść, tym bardziej, że niektóre z ciekawie poprowadzonych wątków mogą być dla autorów powodem do dumy.

Wśród wszystkich tych elementów, niczym asy, pojawiają się postacie. Niebanalne, skomplikowane, wbijające się w pamięć. Uwagę zwraca zwłaszcza Żmijeczek Cai, bohater równie niezwykły jak imię, które nosi. Wybija się spośród innych postaci na pierwszy plan. Pod koniec książki czytelnik z fascynacją odkrywa, że Żmijeczek, którego poznał na początku i ten, o którym właśnie czyta, to już nie ta sama osoba. Ewolucja tego bohatera opisana jest ciekawie, naturalnie, a przede wszystkim przekonująco. Podobnie jest ze wspomnianym już informatykiem. Ta postać pojawia się epizodycznie, ale jest przy tym bardzo wyraźnie zarysowana, a dzięki temu bez trudu dołącza do czołówki głównych postaci książki.

Wystarczy jednak nieco głośniejszy pytać "Po co?" i domek z kart zaczyna się chwiać. Pomysł systemu analogicznego do komputerowego, który zarządza reinkarnacją, jest intrygujący, ale zostaje zepchnięty na bok przez inne wątki w książce. Sam system, nawet ze zżerającym go od środka wirusem, to za mało, by tylko na tym oprzeć fabułę książki. Filozofia dalekiego wschodu ginie gdzieś pod fantastycznymi barwami zapożyczeń z mitologii, przemyślenia bohaterów rozprasza zawrotne tempo akcji. W powieści jest tyle elementów na raz, że bardzo mało miejsca zostaje na to, co autorzy chcieli dzięki nim przekazać.

Książka mogłaby być historią Żmijeczka, człowieka, który odnajduje w sobie ludzkie słabości, choć był szkolony, by nigdy ich nie odczuwać. I gdyby powieść koncentrowała się na tym wątku, okazała by się mogła naprawdę dobrą literaturą. Ale, niestety, widać, że autorzy nie chcieli na tym poprzestać. I chyba trochę racji mają ci, którzy twierdzą, że lepsze jest wrogiem dobrego.

Główną zaletą książki *Mesjasz formatuje dysk* nie jest więc fabuła ani głębia, lecz lekkie pióro autorów i barwny świat. Trochę szkoda, bo nie jestem pewien, czy powiedzenie "Gdy się nie ma, co się lubi, to się lubi, co się ma" odnosi się do literatury.

Przemek Szymczak (www.gildia.pl)

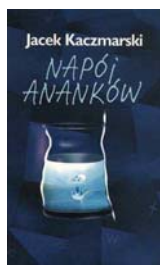
Henry Lion Oldi *Mesjasz formatuje dysk*. Wydawnictwo: Solaris

Kaczmarek Jacek
Napój Ananków
 Warszawa 2000
 Twój Styl, s. 165



DIE POLNISCHE SPEZIALITÄT

Jest w *Kordianie* Juliusza Słowackiego znamienna scena *Przygotowania*, otwierająca dramat. Diabły, pod wodzą Szatana, w czas nadejścia „nowego wieku” przygotowują piekielny kocioł, w którym warzą nieszczęścia dla jednego z narodów Europy. Ich wybór pada na Polaków, którzy *walkę mają rozpocząć (...). oni się będą modlić, zabijać, przeklinać*. Stworzeni do przewodzenia tej parodii narodu wybranego generałowie rychło wynurzają się z piekielnego kotła i wyruszają w świat siac zamęt i dawać złudną nadzieję. Diabły zaś nikną z nakazu Głosu w powietrzu. Scena to znamienna, fundamentalna dla dramatu Słowackiego, którą jednoznacznie odczytuje się jako osąd upadłego Powstania Listopadowego. Do dziś zwraca na uwagę ekspresją i bezkompromisowością sądu, nie oszczędzającego żadnego z powstańców przywódców.



Powiedzieć, że dramat Słowackiego współtworzył paradygmat romantycznego stylu myślenia, zobowiązującego polski naród w ciągu następnych wieków, byłoby komunałem. Nie można jednak nie zauważyć, w jaki sposób *Kordian* wpłynął na innych bohaterów utworów, których autorzy odwoływali się do dziedzictwa polskiego romantyzmu. Coś z owej dusznej, demonicznej atmosfery *Przygotowania* przeniknęło również do *Napoju Ananków* Jacka Kaczmarek.

Akcja utworu rozgrywa się w środowisku polskiej emigracji w Zachodnich Niemczech. Wybór to nieprzypadkowy, bowiem środowisko Polonii znane jest Kaczmarekowi – emigrantowi po Sierpniu '80 – z autopsji. Kaczmarek próbuje w powieści pogodzić dwie tradycje rozrachunkowe: Kordianowską i Mickiewiczowską, łącząc groteskowość dramatu Słowackiego z goryczą *Epilogu* epepei Mickiewicza. Można byłoby tu jeszcze przywołać *Trans-Atlantyk* Witolda Gombrowicza, którego pogłosy łatwe są do odnalezienia w zamkniętej, dusznej atmosferze powieściowej rozgłośni. Jej pracownicy to jednostki patologiczne, żyjące we własnym kręgu koterii, której symbol stanowią „rycerze okrągłego stolika”. Kaczmarek celowo nawiązuje tu do kręgu legend arturiańskich, by je sparodiować: w literaturze i tradycji anglosaskiej okrągły stół to symbol równości towarzyszy legendarnego Artura. W *Napoju Ananków* staje się on areną partykularnych interesów, wzajemnych podchodów i „wygryzania” z intratnych posad. To już nawet nie stolik kawiarniany, przy którym emigranci snują „sny o Polsce”, a loża kierująca zakulisowymi rozgrywkami personalnymi. Jej członkami są wieczni malkontenci, pracujący w rozgłośni nie tyle w imię ideałów, ile z braku lepszego pomysłu na życie. Są oni skazani na swe audycje – i wszelkie reformy przyjmują nieufnie jako zamach na ich *modus vivendi*. Czują się zagrożeni przez podobnych im frustratów, dla których decyzja o emigracji była jednoznaczna z pragnieniem dorobienia się na społeczno-politycznych resentymentach. W efekcie *bunkier, emitujący na pół świata słowa mądre i słuszne, właściwe i wolne, trzeszczy w szwach od prywatnych fałszów i małości* (s. 68).

Żyjący w atmosferze nieustannej podejrzliwości i rywalizacji, główny bohater *Napoju Ananków* próbuje uciec przed codziennością w świat fikcji. Zostaje namówiony do tego przez Julitę, która pragnie *odtworzyć naród, ludzi z krwi i kości (...). kompletni z pieśniami, z legendami, z bohaterami i zdrajcami, z bóstwami, z głupotą i mądrością* (s. 58). Widząc w propozycji koleżanki szansę na wyrwanie się z kręgu radiowych układów personalnych – Lodzio podejmuje się tego zadania, wraz z Mosurem. Ten ostatni, dezerterski z rosyjskiej armii stacjonującej w Afganistanie, utrzymuje, że jest jednym z Ananków.

Audycje nadawane przez Rozgłośnie Ananków Radia Wolność przybliżają historię tego zauralskiego narodu, którego dzieje mogą stanowić aluzję do współczesności. Owe aluzje Kaczmarek tworzy jednak w sposób mało finezyjny, zbyt jednoznaczny (niech za przykład posłuży gra znaczeń polegająca na fonetycznym podobieństwie w języku Ananków określeń zdrady, zwycięstwa i generała – s. 64).

Mit, raz powtórzony, zaczyna w powieści żyć własnym życiem, niezależnym od Radia Wolność, którego zarząd rychło zlikwidował Rozgłośnie Ananków, a jej pracowników zwolnił. Komercyjny sukces opatentowanej przez Mosura receptury napoju i szeroki oddźwięk, z jakim spotkały się jego audycje, umocniły opowieść o zapomnianym narodzie zza Uralu. „Słowo ciałem się stało” i Lodzio znalazł się w jaskini, którą wymyślił na potrzeby opowieści o pierwszym Anance, a dalsze losy tego narodu zaczęły być dostępne w sieci internetowej. Owo baśniowe zakończenie opowieści stanowi w utworze Kaczmarek przeciwagę dla realistycznie zaprezentowanych dziejów pracowników polskiej sekcji Radia Wolność, którzy po upadku komunizmu zajęli się w kraju własną karierą polityczną.

Anankowie, pogodzeni z przeznaczeniem, żyli na uboczu Historii. W przeciwieństwie do nich koniecznością emigracyjnych dziennikarzy było ową Historię współtworzyć. Nie uniknęli oni jednak przy tym prywatnych waśni rodem z szatańskiego kotła Słowackiego. Jego zawartość wydaje się bowiem polską specjalnością. I żadną pociechą nie pozostaje, iż *Naród ginie, dlaczego? Aby wieszcz narodu miał treść do poematu*. Zwłaszcza, kiedy w miejsce Radia Wolność zakładany jest *szpital dla nerwowo i psychicznie chorych współczesnych Kordianów...*

Adam Mazurkiewicz



Życie na Pikniku

Coroczny Piknik to nie tylko byczenie się, tankowanie przy ognisku i ewentualne kąpiele. Początkowo pierwszą i jedyną rozrywką była tratwa. Przez wiele lat nic się nie działo. Przybywało uczestników. Z nimi przybywało też latorośli. W pewnym momencie doszliśmy do wniosku, że naszemu intelektowi też należy się drobna przyjemność. Najpierw sprawdziliśmy to na własnych dzieciach. Następnie zaaplikowaliśmy sobie podobne wydarzenia. Tak powstały konkursy, gry terenowe i inne rozrywki dla dorosłych i dzieci.



turniej Magii i Miecza '97



tratwa '89

W miarę upływu czasu zaczęliśmy organizować konkursy dla dorosłych w postaci o wiele bardziej wymagającej, takie jak turniej brydżowy, mecze siatkówki lub turniej koszykówki. Gienio przeszczepił na nasz teren francuską grę w boules. Pojawiły się też konkursy wiedzy o fantastyce, astronomii, oraz dla tych, co nie znają fantastyki. Od trzech lat odbywają się konkursy piwne, kalambury i „jeden z dziesięciu”. Wszystkie konkursy i turnieje stawiają na wspólna zabawę z ogromną dawką dobrego humoru. Często odbywały się konkursy zorganizowane na przódce lub przez zemstę.



gra terenowa '96



konkurs wędkarski dla dzieci '99



konkurs piwny



wyścig w płetwach

Po raz pierwszy coś takiego odbyło się tak: młodzież postanowiła w podziękowaniu za rozrywkę (czytaj: gonienie do pracy) przegonić najstarszych po tak zwanym polu minowym. Fantastyczna zabawa. Wszystkie pieniądze za ich miny w momencie, gdy kazano nam próbować przygotowanych przez nich „paskudnych kanapek”. Zjedliśmy wszystkie, głośno wołając o solidne dokładki. W drugim przypadku najmłodsze dzieci (5 i 4) lata wymyśliły konkurs dla rodziców. Słowo daje nikt dorosły nie pomagał. Rośnie nam młode pokolenie, które chce i potrafi się bawić. Jednym z większych ubawów był konkurs zorganizowany dla dzieci, których rodzice są na Pikniku. I to było to. Udział wzięły wszystkie dzieciaki, razem 12 sztuk (w tym leśniczego). Najmłodsze miało lat 4 (Mareczek Skorupski) a najstarszy Miruś Bic 24.



turniej młodzież – starsi



dzieci rodzicom



transport tratwy



boules

Każdy spędzał czas jak mógł, lub jak mu na to pozwalały jego możliwości duchowe. Jedni spożytkowywali czas na naukę, inni na wyszalenie się, jeszcze inni na relaks i poprawę samopoczucia. Modne były spacerunki na grzyby, wycieczki tratwą po jeziorze, a co bardziej odporne na promieniowanie UV uczestniczki Pikniku zawzięcie przypiekały się na słończku. Ale nie zawsze przebywaliśmy na miejscu. Czasami zdarzało się nam wyrwać gdzieś w plener. Urządzaliśmy wycieczki do innych miejscowości zwiedzić zamki i inne historyczne miejsca albo po prostu obejrzeć coś ciekawego. Razu pewnego – dzięki informacjom od zaprzyjaźnionych tubylców – zdarzyły się nam nawet małe, nieco przypadkowe wykopaliska. Niestety do dziś nie udało nam się poprowadzić tych prac dalej. Trochę szkoda, może coś ciekawego udałoby się wygrzebać. Wszystko przed nami! Nie było dnia, żeby coś ciekawego nie działo się na Pikniku. Błędym świtem – osławione powitanie wschodu słońca na Pupli. W dzień – konkursy, turnieje, zabawy dla dużych i małych. Wieczorem, przy ognisku – tańce, hulanki, swawole poparte mnóstwem toastów. Nocą nad brzegiem jeziora, przy świetle księżycy – „rodaków rozmowy”, ubarwione pohukiwaniem puszczyków, koncertami świerszczy i żabich chórów.

m.uzyka = fantaurytika = fantaizja

DZIWNY ŚWIAT JANA GARBARKA



Powiem wprost. O muzyce jazzowej nie zamierzałem napisać ani jednego tekstu. Uważam, że w jazzie fantastyki, nawet tej najszerzej rozumianej, o jakiej często tu mowa – nie ma. Według mnie, jazz i fantastyka niewiele mają ze sobą wspólnego, a to dlatego, że się wzajemnie rozmijają. Jazz to muzyka kreowana w oparciu o silnie wyeksponowaną emocję twórczą, skupia w sobie dwa bardzo specyficzne czynniki: osobowość twórcy i technikę improwizacji. Jest zatem, niejako z natury rzeczy, twórczością skazaną na subiektywizm, ukierunkowaną na osobę wykonawcy, jego wrażliwość i temperament, a co za tym idzie, jest sztuką – przepraszam za określenie – egocentryczną, zamkniętą na jakiegokolwiek pozamuzyczne wpływy. Tu liczy się człowiek i m o m e n t, chwila, w której wykonuje (tworzy) on określony utwór, jego predyspozycje psychiczne na daną chwilę i cały potencjał emocjonalny, jaki wkłada w przekaz. W efekcie powstaje ściśle określona forma muzyczna, mocno rozemocjonowana, to fakt, ale bez żadnych ubocznych kontekstów.

Na szczęście, życie nie jest jednowymiarowe ani jednobarwne, więc często okazuje się, że przy każdej regule natrafiamy na takie czy inne wyjątki. Ale bo też to, co wychodzi z głowy (tudzież z płuc) i spod palców Jana Garbarka, nie daje się łatwo zaszufładować, a już na pewno czystym jazzem nie jest.

Pierwszy kontakt z jego muzyką musi wywołać u słuchającego uczucie niejasnego zakłopotania i pewnej bezradności. Słyszac ją po raz pierwszy, staje się wobec niej z uczuciem zawstydzającego zagubienia: co to jest, u licha? O co tu chodzi i „czym to się je”? Czy to jeszcze jest muzyka, czy może już jakaś nawiedzona kreacja, oniryczna wyprawa w głąb skołatanej duszy człowieczej, mająca przynieść jej ukojenie, w poczuciu całkowitego wyłączenia z zewnętrznego świata?

Nie może inaczej być, zawsze, gdy staje się wobec zjawiska tak nieograniczonej, tak bezkresnej, można by nawet o niej powiedzieć, w swym wyrazie, twórczości. Mówi się o Janie Garbarku jako o jazzmanie, choć on sam za takiego się nie uważa. Mówi o sobie, że jest po prostu muzykiem i to określenie wydaje mi się najtrafniejsze. Ja go rozumiem, bo w tym chyba tkwi sedno tajemnicy jego talentu. On zdecydowanie jest kimś więcej, niż tylko jazzmanem. Owszem, poszczególne utwory wykazują silne uкорzenie w jazzie, czego sygnałem może być choćby konstrukcja klamrowa niektórych z nich, tzn.: temat (prolog) – rozwinięcie

z improwizacją – powrót do tematu z finałem czy kompozycje oparte wyłącznie na chórach, czyli precyzyjnie przemyślanych, stopniowo rozwijających się, solowych improwizacjach. Przy tym sztuka improwizacji i technika gry, reprezentowane przez Garbarkę, są w istocie powalające, stawiające go w rzędzie największych wirtuozów saksofonu na świecie. W tym miejscu wypada się jednak na chwilę zatrzymać, ponieważ jego improwizacje zdają



się być nie, jak to zazwyczaj w jazzie, celem utworu, ale środkiem, drogą do wyrażenia czegoś więcej, czegoś co tkwi gdzieś poza muzyką, głębiej niż sama znajomość techniki gry na tym, skądinąd bardzo trudnym, instrumencie. Bez tego czegoś nawet najbardziej kunsztowna sztuka improwizacji pozostaje jedynie wirtuozerią, perfekcyjnym opanowaniem instrumentu, formą doskonałą samą w sobie. Pozostaje technika i emocja. Brakuje duszy.

Mając do dyspozycji przebogata paletę możliwości wykreowania barwy dźwięku, Garbarek najczęściej sięga po najczystsze, tzn. takie, które same w sobie są już czystą, nieskażoną Muzyką. Bez jakichkolwiek zanieczyszczeń, nalotów czy mętów. Krystalicznie czyste źródło, zniewalająca, a przy tym bardzo trudna w odbiorze, muzyka. Zachwycająca swą czystością i zadziwiająca jednocześnie głębią w prostocie (czy ja nie przesadzam, co? Nie zapętliliem się w tym wszystkim za bardzo?) No, ale skoro nie t a k, to j a k o tej muzyce opowiedzieć?

Przeglądając się poszczególnym kompozycjom, jawią mi się one jako rodzaj muzycznych wizji utrzymanych w pastelowej tonacji, dźwiękowych krajobrazów malowanych miękkimi, jakby rozmytymi konturami, przez które nagle, niczym snop słonecznego światła pada na ziemię, rozrywający mgłę jasny i czysty dźwięk saksofonu wielkiego mistrza ceremonii. Odnoszę wówczas wrażenie jakbym nie słuchał, a raczej słuchając oglądał obrazy ze snu, grę światła i cieni, pełną najdziwniejszych skojarzeń.

By wszystko było jasne, należy się w tym miejscu parę słów wyjaśnienia tym wszystkim, którzy z Garbarkową sztuką mieli dotychczas niewielką styczność bądź nie mieli jej wcale, co nie powinno specjalnie dziwić, bo im artysta większy i bardziej ambitny, tym bardziej elitarny zarazem.

Niechaj nas zatem nie zmyli swojsko brzmiące nazwisko, Jan Garbarek jest saksofonistą norweskim z polskim jedynie rodowodem; jego ojciec urodził się w Polsce (Małopolska wschodnia), choć on sam Polakiem się nie czuje. W początkach artystycznej kariery, czyli w początkach lat 70. ubiegłego stulecia, rzeczywiście był jazzmanem. Wyszedł m.in. „spod skrzydeł” pianisty Keitha Jarreta, a więc z kręgu rozbudowanych, finezyjnych improwizacji i wyrafinowanego brzmienia. Z kwartetem Jarreta koncertował, tworzył i nagrywał płyty. Tu też prawdopodobnie wykreowała się idea, którą ośmielię się nazwać, metafizyką improwizowaną. Ogromny potencjał twórczy i rodzące się w głowie coraz śmielsze pomysły kazały mu w końcu opuścić Jarreta i wybrać własną drogę.

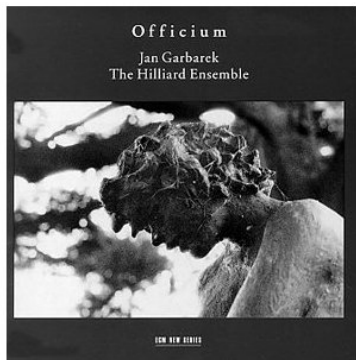
Od tej pory każda płyta, sygnowana jego nazwiskiem, jest jak otwieranie duszy, serca i umysłu na nową rzeczywistość, inny wymiar i inny świat. Właśnie słowo „świat” wydaje mi się w tym wypadku wyjątkowo odpowiednim określeniem, ponieważ Garbarkowa twórczość to nieustanne doświadczenie, nieustanna podróż przez kultury, style, epoki i regiony świata. Naprawdę, zjawisko na muzycznym Olimpie rzadko spotykane; muzyka rodząca się jakby w ciągłym, instynktownie przeżywanym zaspokajaniu, wiecznie nienasyconej ciekawości. Ciekawości barwy dźwięku, ciekawości brzmienia czy postrzegania fuzji kultur jako jakiejś, bliżej nieokreślonej, metafizyczno-muzycznej Jedni. „Vision”, „Ragas and sagas”, „Madar”, „Visible World”, „I took up the runes”, „Twelve Moons” czy „Officium” (wymieniam tylko najciekawsze tytuły, wszystkich jest zbyt wiele) – z każdą tego rodzaju płytą zdumiony słuchacz otrzymuje do rąk własnych przedziwną syntezę muzyki, filozofii, medytacji i modlitwy. Bo dla Jana Garbarka pojęcie muzyki nie łączy się z pojęciem alienacji, zamykania się na wpływy innych konwencji czy stylów. Wręcz przeciwnie, on sam wychodzi im naprzeciw, szuka podnieć twórczych w realizacji coraz to nowych połączeń brzmieniowych i w kulturowych mariażach.

Słuchając jego płyt, raz po raz doświadcza się nieocenionych emocji i estetycznych doznań, ponieważ Garbarkowy saksofon, obojętne czy to będzie sopranino (najmniejszy rozmiarami z najwyższą skalą dźwięku), alt czy tenor, równie dobrze wpisuje się w muzykę rodem z Pakistanu, z Indii spod znaku Ravi Shankara, w klimat norweskich pieśni folkowych Agnes Buen Garnås, lapońskich Mari Boine z ludu Saami czy w średniowieczne śpiewy liturgiczne. Zwłaszcza ta ostatnia podróż przez muzykę i czas okazała się strzałem w dziesiątkę.

W niemieckiej wytwórni ECM Garbarek zetknął się z męskim kwartetem wokalnym, The Hilliard Ensemble, od lat zgłębiającym poetykę i ducha muzyki dawnej i wówczas, z inspiracji szefa tej wytwórni, której Garbarek jest wierny do dziś, w 1993 roku, zrodziła się idea nieprawdopodobnej płyty. Łacińskie „officium” jest szerokim pojęciem, lecz można je sprowadzić do polskiego słowa, które najpełniej oddaje sens muzycznego przekazu zawartego na tym albumie i najtrafniej chyba tłumaczy jego tytuł – modlitwa. Całość opiera się na dość prostym pomysłem, wykorzystywanym już wcześniej przez naszego bohatera: w oryginalny materiał dźwiękowy, w tym wypadku są nim pieśni liturgiczne z epoki wczesnego i późnego średniowiecza – motety i chorały śpiewane a capella – włączają się cicho i delikatnie, niemal niepostrzeżenie, Garbarkowe saksofony. Ich dźwięk snuje się powoli i sennie, jak wonny dym z kadzidła, muzyka unosi go wysoko pod łukowe sklepienia wyobraźni, gdzie uniesiony echem – znika. Jak ktoś gdzieś fajnie powiedział, słuchając tej muzyki odnosi się wrażenie, jakoby saksofon był w nią wpisany od zawsze, tak naturalnie współbrzmi z polifonicznym cantus, dopowiada i dopełnia przestrzeni dźwięku. Przepiękna synteza. To prawda, całość brzmi naprawdę nieźle, a subtelny pogłos dodany zarówno dla ścieżek wokalu, jak i dla saksofonów, wprowadza dodatkowy efekt, złudzenie, jakoby muzycy naprawdę znajdowali się we wnętrzu gotyckiej świątyni. Wywołuje odpowiedni nastrój, a to z kolei nie pozostaje bez wpływu na słuchającego, potęgując wrażenia z odbioru.

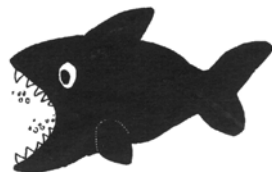
Jako się wcześniej rzekło, nie jest to muzyka łatwa w odbiorze, oj nie. Warto jednak, mimo wszystko, spróbować się z nią zmierzyć i choćby tylko na krótką chwilę, ot, tak z ciekawości, przekroczyć granice dziwnego świata, wykreowanego poruszającym brzmieniem saksofonu i wyobraźnią nietuzinkowego twórcy. Bo choć Garbarkowy świat pełen jest labiryntów, mrocznych zakamarków i tajemnic wodzących na pokuszenie, zmuszając umysł do sporego wysiłku, to przecież każda tajemnica bez chęci jej poznania przestaje mieć sekretnym blaskiem i wabić obietnicą odkrycia nieprzebranych skarbów. A z kolei bez zwodniczego światła tajemniczy barwy świata błędną i przygasają. Każda tajemnica czeka na swego odkrywcę. Na nas.

Andrzej Habasiński



dokończenie ze strony 24

- Mhm...
- Metoda ta była daleka od doskonałości. Za szybko wypływały ten cenny a jakże lotny składnik, i niejednego mistrza spotkała straszna śmierć w ramach zemsty glonojada. Więc tą metodę udoskonalono.
- Tylko pamiętaj że ja jadłem niedawno, co?
- Spokojnie...
- I nie lepiej był wziąć pijawki?
- Pradawny mistrz się ich bał panicznie. Poza tym były za mało egzotyczne.
- No, tak. Szpan musi być.
- Wracając: metodę udoskonalono. W pocie czoła. I tak powstało najwyższe osiągnięcie Mistrza: Glonojad Plus.
- TURBO ĆLOMP?
- Cicho. Poprzez subtelne nacięcia i skomplikowaną operację, która przebiegała pod wpływem hipnozy, miał wszczepioną sieć rurek, które prowadziły do zbiornika – żaby. Glonojad wsysa gaz, co przepływa dalej do żaby. A żabę razem z zawartością wrzucamy do saganu. Bardzo proste.
- Doprawdy. A, weź mi przypomnij, co ta mikstura miała zrobić?
- Sam nie kojarzę. O jest, chwila... ee....
- ...?
- Ona miała na celu przemienić tego, co ją wypije, w glonojada. Różowego. Z pewnymi „elementami żaby”.
- Coś mi się wydaje że tego twojego mistrza łączyły jakieś dziwne relacje z tymi rybkami...
- Mhm. Starczy tego. To głupie.
- Racja.



Wiktor M.

RECEPTURA ALCHEMICZNA NR 53

- 6 kocich łez
- kocia łapa
- koci ogon, najlepiej czarny
(to wszystko może być z jednego kota)
- 10 rybich szkieletów
- kupa łusek (rybich)
- 3 krople rtęci
- 3 kg żelek, najlepiej różowych
- 2 płucka gazu serowego

- He? Jaki kurde gaz serowy?!
- W jakiej ty epoce żyjesz? Jesieni średniowiecza?
- Dzisiejszej, w przeciwieństwie do ciebie. Ale dobra, to jak z tym... gazem... serowym...
- Jak to jak? Prościutko. Gaz ten znajdujesz w dziurkach od sera, które od niepamiętnych czasów były odizolowane, zawieszane w niedialektycznej rzeczywistości serowej żółci. Jak zapewne wiesz, żółty jest symbolem bardzo znaczącym...
- Dobra dobra. Lepiej powiedz jak się ten gaz pobiera? Strzykaweczką jakąś? I pewno im starszy i bardziej cuchnący tym lepszy co?
- Oczywiście. Ale ze strzykawką to nie trafiłeś. Starzy mistrzowie używali do tego glonojadów.
-?
- No wiesz, te rybki co ciamkają wszystko.
- Clomp clomp itd?
- Tak plus minus. W każdym razie – odślaniali powierzchnię pęcherzyka i wtedy cieniutką warstwę sera pokrywali glonami. Na to rzucał się wygłodzony glonojad, którego wiele dni bili po jajach kijem, jak psy przed walka...
- Nie przesadzasz?
- Tak stoi w pradawnych tomiszczach!
- Cokolwiek. Mów dalej.
- Więc gdy wściekły glonojad przegryzł już ser, to w swej zajadłości wysał gaz. Dokładny moment poznawano poprzez nagły wytrzeszcz gał ryby.



ciąg dalszy na stronie 23

GDAŃSKI KLUB FANTASTYKI

ADRES GKF : Gdańsk-Przymorze, ul. Opolska 2

ADRES KORESPONDENCYJNY : skr. poczt. 76, 80-325 Gdańsk 37

REDAKCJA: Jan Plata-Przechlewski (red. naczej.), Krzysztof Papierkowski, Marcin Szklarski,
Michał Szklarski

OKŁADKA: Sławomir Wojtowicz

GRAFIKI: Andrzej Dobrzyński (16), Grzegorz Raczek (17, 23), Piotr Terszel (3, 4, 12, 23, 24)

KONTO BANKOWE GKF: PKO BP I O/GDYNIA nr 52 1020 1853 0000 9902 0067 8359

Nakład 300

WYDAWNICTWO BEZPŁATNE

INFORMATOR

215

Teksty drukowane w „Informatorze” odzwierciedlają przekonania Autorów
i nie zawsze pokrywają się z poglądami redakcji